

MOWA WIĄZANA

15 listopada 1997 r.

Okolo 10.30 dzwonię do drzwi Jachimowicza. Otwiera po dłuższej chwili, w szlafroku, wyrwany ze snu. Wyprzedziłem jego budzik o kwadrans. Czytam mu recenzję „Jaskółek jutra”, a on na różne sposoby usiłuje potem zrelacjonować swoje wrażenia. Uważa, że wydobyłem to, co chciał powiedzieć, że stracił już nadzieję, iż ktokolwiek odczyta jego poetyckie przesłanie, że nawet znając mnie, nie spodziewał się tego po mnie. Wstaje i serdecznie objawszy całuje. W rozmowie wciąż do tego wraca, nazywa takie wczuwanie się w jego teksty *wspólną pracą w sztuce*, rzecz określa jako *napisaną z impetem, jednym tchem, iskrzącą. Bardzo czujnie słuchałem, czy gdzieś nie ześlizguje się pan – ale nie, wszystko, co pan porusza, ma pan doskonale udokumentowane!*

Czytam jego najnowsze utwory, z prawdziwym zachwytem wiersz powstały w lipcu, w świdnickim szpitalu, a dotyczący powodzi. Ma specyficzną, narzucającą się melodię, w której wykorzystane są głosy sierpówek (u niego – synogarlic). Mówimy o użytych środkach, choćby o „grulach ulewy”, co „gruchnęły z niebieskiego wora”. Ton wierszy w całym zestawie jest ciemniejszy, niż znany mi z ostatniej książki – „W blasku Istnienia”. Potwierdzając moje wrażenia, zgadza się, że teraz właśnie jest narzędziem eksperymentu, wręcz dlatego tylko może jeszcze pisać, takie znajdując uzasadnienie, wobec obezwładniającej go awersji do wszelkich czynności życiowych. Zaczyna wypowiadać wprost myśli będące jego credo. Przeświadczenie – zapisane także w jednym z krótkich utworów, który czytałem przed chwilą.

W OTWARTE DŁONIE

*W otwartą dłoń
wpada blask Słońca*

Uderza myśl

Po co było kraść ogień?

*Skoro ogień kosmiczny Słońca
ten sam co w nas*

Wszystko co Istnieje

- wewnętrznym Słońcem olśniewa

Ogień i Życie

To Jedno.

6 XII 96

Ta właśnie jednolitość ognia, który jest w Słońcu i który jest w nas, to – tak pojęte dosłownie – że tym samym ogniem żyjemy. Miałem takie okresy widzenia, że wszystko jest to, co ma być, tylko trzeba dojść, że to jest. W wewnętrznym porozumieniu, mówimy o niegasnącej nigdy Świadomości. Jest pewien Jej istnienia i potęgi.

Wychodzę niesłuchanie podniesiony końcówką rozmowy, intensywnością spotkania w najistotniejszym. Czuję ten stan psychiczny, w którym mogę zaskoczyć siebie. Jak lekko schodzi mi się nasłonecznionym chodnikiem! Teraz mijam po prawej samotny budynek, gdzie zazwyczaj widywałem ludzi wyglądających na włóczęgów czy drobnych złodziejasków. Spostrzegam parnastolatka wybiegającego z sieni i zaraz biorącego się do oględzin i reperacji odrapanego roweru – pośród tego ni to podwórka, ni to ogródka, w ogólnej dewastacji, bylejakości. I niespodziewanie ogarnia mnie miłość ku niemu – miłość braterska, ojcowska, ludzka miłość... Lawinowo toczy się myśl. Że pracujemy, tworzymy, żyjemy dla ludzi z ł y c h ! Dobro (w tym, rzecz jasna, wszelka jakość estetyczna) dobrym nie jest potrzebne, potrzebne jest złym. Dobro nie występuje samoistnie, lecz w o b e c zła. Samo ze siebie jest tylko Jest. Miłość opiera się na złu, kochaniu z ł y c h ! Rozjaśnia mi się z Ewangelii – że do grzeszników, nie do zdrowych, że ojciec syna marnotrawnego, że wszystko czynić potrzeba najmniejszym, a któż jest m n i e j s z y od złego? Komu brakuje więcej? Zaprogramowane czynienie dobra wydaje się naraz patologią. Jest tylko zło – i okazana mu miłość! Nasze tutejsze bytowanie nie polega na „dobrym życiu”, lecz kochaniu złych! Zło – przestrzeń miłości. Nawrócenie się – wypełnienie własnej przestrzeni miłością. Nie jestem „dobry”, jak długo tkwi we mnie potrzeba miłości. Dobro nie tworzy (tworzy Istnienie) – jest tylko p o p r a w i a n i e m. Kult dobra wytworzony wobec powszechności zła. Ogromu otaczających nieprawidłowości. Dobro n o r m a l n o ś c i ą, gdy nie ma zła – i powinniśmy rzeczywiście mówić: sługami nieużytecznymi jesteśmy... „Jaką macie zasługę, jeśli kochacie tych tylko, którzy was kochają? Miłujcie nieprzyjacioły wasze!”

14 lutego 1998 r.

Nie nagrywam audycji w BRW, wietrzę oszustwo, za cztery pogadanki, które poszły na antenę, nie zapłacili, dzisiaj człowiek pośredniczący w tej sprawie na mój widok umknął z biura pod byle pretekstem. Wolno wracam ze Szczawna obejrzawszy jeszcze

po drodze „Koronę” czyli dom rodzinny Gerharta Hauptmanna. Wypadałoby zaglądnąć do Jachimowicza, ale - właśnie to ale - że to jednak kawałek, że czasu do mojego autobusu niewiele, że wkrótce znów pojawię się w Wałbrzychu, że muszę w końcu coś dzisiaj zjeść... Nie decyduję ostatecznie, w którą stronę się skieruję, tylko kupuję bułki i jem stojąc przy ogrodzeniu jakiejś kamienicy, potem idę jeszcze kawałek w stronę centrum, ponieważ nigdzie tu nie ma kosza na śmieci. Jest przystanek – już zdecydowałem, że jadę stąd prosto do śródmieścia, gdyż czasu na to jedzenie i wędrowanie znów ubyło. Nadjeżdża pusty mikrobus, macham, lecz kierowca akurat wpatruje się w coś po drugiej stronie ulicy. Czekam dalej, nagle znów mikrobus z tabliczką „8”. To tamtędy! Koło Jachimowicza! Może choć na pół godziny?

Jego głos w domofonie jest zmieniony, jednak nie analizuję tego i przypominam sobie o tym dopiero później. Zaraz u progu informuje mnie, że miał właśnie rozpocząć mycie. Ma na sobie stary niebieski szlafrok i błękitną piżamę - w tym stroju zastaję go ostatnimi czasy, ponieważ późno się kładzie i późno wstaje. Jest inny, niezdecydowany, siedzimy chwilkę, proponuje, że zostawi mnie na jakiś czas, aby jednak się umyć, bo w łazience wszystko ma przygotowane, ale zaraz powraca z za drzwi. *Nie wykorzystałbym tego czasu pańskiego pobytu.* Mówię, że otrzymałem stypendium na pisanie książki o jego twórczości. Cieszy się niby, lecz widzę, że to powierzchowne, nie porusza go, później wypowiada parę słów na ten temat, ale też sucho, jakoś abstrakcyjnie, jakby nie po swoim albo nie o sobie. Coraz bardziej utwierdzam się w odmienności stanu jego ducha, tak, mówi o pisaniu, czyli o wszystkim, w czasie przeszłym. Nie w tym znaczeniu, iż nic już nie pisze, ale że coś minęło, j u ż się coś skończyło, już nie panuje nad tym, co tworzy, nie jest w stanie ogarnąć kompozycyjnie tomu, jaki powstał w ostatnich miesiącach. Wiersze jeszcze przepisywał na maszynie, lecz skutkiem niedowidzenia z mnóstwem błędów, a teraz na ślepo wstawia poprawki, których nie może już odczytać i ma świadomość, że pewnie nie odcyfruje ich nikt inny.

I ten tom, który należałoby skomponować. Mam jeszcze dwadzieścia minut, proponuję pomoc, cokolwiek, choćby jakiś wiersz przepisać. Pokazuje teczkę ze spisanyimi na karteluszkach tytułami rozdziałów i odpowiadające im częściowo wiersze powkładane w stare okładki broszur, zaproszenia itp. Zaznacza, że jeśli jakimś cudem nie dokona tego ostatecznego uszeregowania tekstów, to jako namiastkę autorskiej kompozycji możnaby przyjąć kolejność chronologiczną - każdy utwór ma bowiem datę. Mówi tak, jakby zlecał mi to na okoliczność swojej śmierci. Wyliczam mu, co jest w poszczególnych przegródkach, pytam o ewentualne przełożenie pewnych wierszy - a on, jakby zawstydzony, odpowiada, że to jest właśnie ten problem, że musiałby zobaczyć, a nie jest w stanie. I może po raz pierwszy widzę go takiego, bezbronego wobec losu. Przypomina, iż powiedziałem kiedyś, że jest wieczny. *Nie jestem wieczny, jestem strasznie doczesny. To j u ż mi się wymknęło* - a mnie nie

było, zbyt rzadko zaglądałem ostatnimi czasy, za daleko się wyniosłem. Czuję, że ma żal, wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym był wcześniej pod ręką. *Jestem w rozsypce, mogłoby się zdawać, że to tylko wzrok wysiada, że pamięć pozostaje, ale jest inaczej, teraz wiem, że jest inaczej, że moja pamięć działała poprzez wzrok...*

Ponieważ pyta, co u mnie, staram się opowiadać, idzie mi niesporo. Kiedy mówię o swojej prozie, że wykorzystałem tam jego wiersz, pyta który, jednak jego zainteresowanie trwa moment. Nagle, gdy już się jako tako rozkręciłem w opowiadaniu o własnych sprawach, przerywa mi - tak jak nigdy - jakby nie mogąc powstrzymać westchnienia litości nad sobą. *Ja pisałem...*

20 lutego 1998 r.

Ma zdecydowanie lepszy humor. Jest pora obiadowa, jemy naleśniki przygotowane przez jego dochodzącą gospodynię. Przepisuję mu nowe wiersze na maszynie. Pomagam komponować zbiór „Z niebieskiego wora”. *Doskonałość rodzi się z trudności. Ile razy pokonałem coś i byłem zaskoczony tym, co powstało. O takim czymś marzę, aby to taki stawiało opór. Zauważyłem, że ile razy wiersz sprawia mi trudności, po pokonaniu widzę, że tylko dlatego on jest taki dobry. Wydaje mi się bardzo dobry, taki ostateczny, ten wiersz. I tylko tak, inaczej nie można zobaczyć. I jednak człowiek widzi, że było zachwycające to życie, że nie tylko „abyś... istniał...” Że z takiego wądołu - z taką wiarą.*

Pamięć, która przygniata, pamięć tego ogromnego życia, to wszystko, co zrobiło się niewłaściwie, samolubnie, nie biorąc pod uwagę przeżyć drugiego człowieka - czego bym teraz już nie zrobił. Ciągle o tym myślę. Jesteśmy tylko partaczami życia. Wiem, że jestem partaczem życia. Pamięć tego życia, tego, że nie wykorzystywało się... Wartość jednak kryje się przed nami. Wszystko na „wydaje się nam” polega. Że gdzieś tam, coś, na boku, u innych, a sami nie wiemy, co z tym zrobić.

To nie są mrzonki, co mówią duchowni, prawdziwi duchowni, no, po prostu religia Chrystusowa! Chrystus to jest czymś bardzo wyrazistym, mówiącym jasno, co trzeba robić dla drugiego człowieka. Uważają, że to są jakieś bajeczki, a to najprawdziwsza religia... Jeśli mówię, że jestem niewierzący - wierzę w Chrystusa, w niezwyklego człowieka, nazwali go Bogiem, i słusznie - bo był więcej niż człowiekiem.. Nie rozumiemy, że lekceważąc dobro stajemy się głupimi ludźmi, nie wiemy o tym, że godząc w kogoś, sami siebie zabijamy... O takich właśnie rzeczach myślę stale. O ile to moje życie byłoby lepsze, lżejsze, gdybym wiedział to dawniej..

Religianctwa nie znoszę. Zdaje mi się, że człowiek obdarzony mądrością - co jest rzadkie - jest dobry. Ale skąd brać mądrość? Z doświadczenia bierzemy, ale ilu ludzi

doświadcza i nic z tego nie wynika. Widzę, że należałbym do tych moralizatorów, którzy własne życie, niestety, przegrali... Świadomość się zdobywa nie myśląc o tym. Jak zaczyna człowiek myśleć o tym, że ma coś wiedzieć... Dobroć jest powinnością wobec samego siebie, o tym się nie myśli. W ogóle nie umiemy wnioskować, jakbyśmy wnioskowali, bylibyśmy innymi ludźmi. No, i inni, głupcy nie pozwalają nam być mądrymi, patrzymy na innych...

Marek Zwillich... to... bardzośmy się lubili. „Ciebie tylko podziwiam, jak ty jedną żyletką się pół roku golisz”. Bo żyletkę zawsze ostrzyłem na szklance, wie pan. I tak, tak z przyjaźni, to mnie, to mi mówił: „ Ty, Marian... ty nie... ty się nie chwal”. To nie było dla mnie upominanie tylko... tylko... właśnie chciał powiedzieć, że mnie lubi. Bardzośmy się lubili. Myślę o tym... jak... jak już poruszam te rzeczy... to... to nie mogę odżalować tego człowieka, że taki piękny człowiek, wewnętrznie piękny, właśnie w tym środowisku żydowskim wychowany, pełen dobroci, podziwu dla świata, dla dobrych rzeczy, ładnych rzeczy...

Jego na przykład w lesie, jak... jak byliśmy pod samymi Działami Schodnickimi, w Boryslawiu, to czernice były, to... on miał grube wargi, grubsze wargi niż ja, więc takie... takie... smakoszowskie usta takie... To jak on się zachwycał aromatem tych czernic. Mówił, jaki to smak, po prostu mistyczny jakiś smak miały te owoce. I - wtedy właśnie modne były te pieśni przedwojenne - bo to było przed wojną - „Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal... I szumi, szumi woda.... I płynie sobie w dal...” To w jego ustach to nabierało takiego smakoszostwa, Smak właśnie życia był w tym, co on robi, jak on to robi, jak on je te owoce, jak on...

Ciekawe, że jak mówił o ludziach, to potrafił z nich wydobyć samo dobro. Mimo, że tak go otaczało zło, ze wszystkich stron, on w ludziach widział dobroć. Dzięki tej... naiwności swojej, to był tak pięknym człowiekiem. Właśnie naiwność go chroniła przed... przed niewiarą w człowieka. Że kiedy myślę o dobrych ludziach, to zawsze - widzę jego. Młodego. W cwikierach... takich... Był krótkowidzem. Wspaniałe czoło. Miał pięknie... piękny skłon tego czoła. Barwa skóry, taka przyciemniona... brązowa... W ogóle jakiegoś południowca przypominał. On wywodził się z Żydów tych... hiszpańskich, stamtąd przywędrowali jego przodkowie do Polski.

Jak się zanadto jemu [dyktafonowi] przyglądać, to... peszę się. Ucieka mi, znika. A jak się słucha? Słowo jest po to, żeby je słyszeć. Heee, żeby je usłyszeć, żeby się porozumieć - i dlatego się ludzie nie rozumieją, że właśnie to służy do porozumienia. Mowa służy do porozumienia, ale, ale co, okazuje się, że staje się czymś przeciwnym. Mowa jest wstydliva, proszę pana, tak jak twórczość jest wstydliva. Dlatego tak trudno się posługiwać jakimiś aparatami... przy twórczości, bo... bo człowiek wstydzi się swoich myśli, swoich... swojej nieudolności. I jest ciekawe, że, że mądrzy ludzie się wstydzą. Głupi nie, nie wstydzi się siebie. Uważa siebie za mądrego właśnie i - on,

on jest naturalny i często jako człowiek często jest w otoczeniu ludzkim ciekawszy niż... niż ten mądry, bo mądry ma kłopoty z uwierzeniem w swoją mądrość. Słowo może bardzo dużo z nas wydobyć. Ale żebym nie wiedział, że czyha się na to... Świat obiecuje - ale nie bardzo się opiekuje człowiekiem. Co ładnego jest w życiu, to ta pasja, która czasem nam sprzyja...

Wiem, że... od dziecka nade mną ukazywała się kobieta. W rozmaitych postaciach, chociażby i dziecka, dziewczynki. Ale zawsze, zawsze była ta kobieta przy mnie. Jak budziłem się rano, nade mną była twarzyczka dziewczyny pewnej, która mieszkała o piętro niżej, już nie wiem nawet, jak się nazywała, a jeżeli o niej kiedyś pisałem, to zmyśliłem jej imię, bo nie pamiętam. Ale wiem, że, że ta kobieta wciąż nieodłączna jest od mężczyzny. To dziecko kobieta - od, od dziecka mężczyzny. Zawsze jest... Przychodziła tam, gdzie pan był, jak się pan budził, czy... W domu, w domu, domu... czy to było pana wyobrażenie? Nie, to nie było wyobrażenie, ona przychodziła tam, rzeczywista dziewczynka, która mieszkała na, na dole, na parterze, a myśmy mieszkali na pierwszym piętrze, i ona do mnie, jako do dziecka, ale starsza ode mnie o, o wiele lat. Bo ja tam myślę o tym, co tu mam na obrazie. Cztery lata miałem wtedy. Kiedy to pamiętam. A ona musiała mieć około dziesięciu lat. Więc zawsze ta opiekuńcza kobieta nade mną była. Nie tylko matka, nie tylko siostra, ale inne, cudze osoby. Dziecko... kobieta dziecko... Druga. To zawsze się tak skądś koło mnie - znak - znajdowała.

Tak była też na Węgrzech taka, Iboya się nazywała, Iboya - to jest fiołek po, po węgiersku. Czyli - Violetta. Violetta była. Też pamiętam, jak na schodach, już wieczorem, w lecie, po gonitwie, tam, po ulicach, po zabawie... Więc znaleźliśmy się na górze, wtedy miałem chyba jedenaście lat, i ona mniej więcej to samo, i siedzieliśmy na trzecim piętrze na klatce schodowej, na tych kamiennych schodach, i przytuliliśmy nasze ciała do, do siebie. Tak ciepło szło od niej - i ode mnie do niej. I całowaliśmy się. I to była miłość, to była... właśnie dorosła miłość, w dziecięcych latach. I nie wiem dlaczego, właśnie... właśnie jakaś wstydlivość nie pozwoliła jej powtórzyć ze mną to... to samo. A to było bardzo ciekawe. I do... do dzisiaj pamiętam tę Iboję. I smak jej ust. A to było w tym samym domu, to znaczy, bliźniaczy dom był zwrócony... to znaczy, jakby dwie litery C, jedna odwrotnie, a druga normalnie, złożone w owal jakiś taki, te dwie kamienice były wybudowane, całe powtórzenie tego domu, gdzie ja mieszkałem, było po jej stronie, to ona była z tego właśnie domu. Tam, gdzie była luka między tą literą C, jedną i drugą, ja tam z Cyganikami się bawiłem też, tak... Lubiliśmy wyścigi. Biegi, no, w biegach, to na krótką metę, to ja byłem jednym z najlepszych tam biegaczy. Tylko ciekawe, że zawsze mnie kłuło gdzieś tutaj... w boku. Jak tak biegłem, tak szybko.

Prowadzałem na spacerzy psy brata. To były myśliwskie dwa psy. Heki i Nero, nazywały się. Tylko miały jedną wadę, jakieś paskudztwo tam na placu... Tam był

plac, niedaleko tej ulicy właśnie... Ta ulica wpadała, czy też wychodziła od tego placu... I niestety, jak znajdowały jakieś paskudztwo, to to zaraz wyjadały i tym mnie zrażały do siebie. A byłem ich opiekunem. Brat zostawiał mnie całą opiekę nad nimi. Plac Kalwarii się nazywał. W Budapeszcie, plac Kalwarii, były tam ogrody na tym, na tym placu, ogrody, rozmaite krzewy ozdobne i za tymi krzewami, za tym ogrodzeniem z zieleni, to było.. oczywiście domy i było kino. Kino Ludowe, Népi mozi po węgiersku, Népi mozi, Kino Ludowe... Po przeciwnej stronie, to znowu był kabaret, gdzie chodziłem, od czasu do czasu, taki kabaret dla dorosłych, ale to był mały teatr, można by go nazwać mały teatr. Dość często tam chodziłem i później, wracając do domu, to przed bratową odgrywałem te rozmaite sceny, które tam widziałem. Jak trzeba było, to się położyłem na... na ziemi i pokazywałem, jakie to... W ogóle bardzo żywo oddawałem to, co... czym nasyciłem za dnia. A to była samotność z psami, bo całymi dniami miałem z psami do czynienia, bo bratowej nie było, przecież miała rozmaite obowiązki na mieście, to zostawiała mnie z tymi psami i to, to ja z nimi bardzo współżyłem. Ale to było jeszcze nim pan zaczął pracować? Tak, nim, to, to było... To były bardzo piękne psy, legawce... angielskie... Zresztą lubiłem zwierzęta od początku... Jak mówiłem o tym, jak do budy wlałem, psa, mając pięć, sześć lat... A to, to było dość śmiało. Bo przecież... suka nie bardzo dopuszcza do swoich małych, a, a ja tam wlałem i byłem traktowany jak jedno z tych... z tych...

Jak to życie, które pamiętam, jakby odżywa z powrotem, dzieje się... I cóż ja mogę ciekawego powiedzieć, proszę pana? To jest książka, którą pan ma, gdzie opisałem swoje życie, swoje lata, te najwcześniejsze, to, to mówi bardzo dużo o... o... Mam wrażenie, nie tylko o mnie, ale w ogóle o życiu ludzkim. Byłem tam dosyć ambitny. Z czego sądzę. Otóż pewnego dnia ze Schodnicy przyjechał znajomy chłopiec. Nazywał się Rudnicki. To był kowal w Schodnicy, gdzie mój ojciec swego czasu pracował. Właśnie u tego kowala. Więc tak coś było jakby rodzinnego... Między tą rodziną Rudnickich, a mną. Prawdopodobnie Rudniccy to byli, jak nazwisko mówi, raczej Ukraińcy. Ale to się tam, w naszych, w owych czasach, to się nie widziało tych różnic, nie było tych animozji, ludzie współżyli z... żenili się ze sobą, mieli dzieci, i tak dalej, i tak dalej. Polacy żyli w najlepszej komitywie z rodzinami ukraińskimi. Dowód też w tym między innymi, że mój ojciec jak tam pracował u niego, u tego kowala, to był traktowany jak z rodziny. I ten chłopak przyjechał – furą. Końmi. Dwa konie zaprzężone do, do takiej fury, do wozu – tu już mówię po borysławsku – fura – i zaczął molestować moją matkę, żeby mnie puściła do niego, że on, że on mnie zabierze do Schodnicy. A ja miałem wtedy sześć lat, o ile pamiętam, sześć, może siódmy rok życia. A potrafił tak przekonywać matkę, że, że się zgodziła. Że ja pojedę, bo on miał na drugi dzień mnie odwiedzić z powrotem.

No, jechaliśmy bardzo piękną drogą, to... przez... pod górę, stale pod górę, bo Schodnickie... to jest, to są tak zwane Schodnickie Działy, te góry się nazywają. To dział wód, to dlatego Działy się nazywają. I to był chyba sierpień, czy lipiec... czy

lipiec... W każdym bądź razie maliny były. Piękne maliny rosły po zboczach. A to świerki tylko, przez te lasy karpackie, takie pierwotne. To cudna tam droga była, w słońcu. Konie same, same ciągnęły... i szły... on nie powoził wcale, myśmy sobie bokiem drogi maliny zbierali, a konie pilnowały nas, że jak myśmy podeszli dalej, to i one też... tą furą się znalazły znowu koło nas. To była cudna droga. No, pod wieczór przyjechaliśmy do Schodnicy. Tam zaczęła iść droga w dół, bo to nad rzeką. Bystrzycą. Bystrzyca Schodnicka. Więc zostawiamy tę furę na, na podwórzu i idziemy do, do nich do domu. Taka, taki chodnik z desek ułożonych wzdłuż, przed błotem, prawda, ochrona. Do domu prowadzące. Otwarte drzwi. I on idzie naprzód. I mówi – mam, przywiozłem Manka Jachimowicza, ze sobą. A po coś go brał? Ja to usłyszałem, z miejsca się cofnąłem. Cofnąłem się i zobaczyłem stóg siana. Tak zwane te kupice... Pod wysokimi żerdziami. Na czterech bokach te żerdzie, a właściwie pnie, bo to wysokie było. Ileś tam metrów wysokości, nabite sianem to, dach nad tym wszystkim, czworokątny. Przesuwany był na tych żerdziach do góry, w miarę nakładania siana. Tak, że to bardzo wysoko... A ja widzę przystawioną drabinę do tego siana i w ostatniej chwili skok na tę drabinę, i ukryłem się pod tym dachem.

Zaczęli mnie szukać. Wołali, szukali, kręcili się, można sobie wyobrazić, no był chłopak i zniknął. I to siedmiolatek czy sześciolatek. Zniknął. Więc długo szukali. Ja się nie odezwałem, zanurzyłem się w to siano i siedziałem tam ukryty. Coraz ciemniej, ja już obserwowałem, jego ojciec wyszedł, i już, już mnie nie szukali, przestali szukać. No, no przepadł. Ale oni się jakoś szybko pogodzili z tym, bo już... już właściwie jakby zapomnieli, że ten chłopak zniknął, i że trzeba do ostatka gdzieś szukać. Nic. Oni przygotowywali swoje... swój wieczór, do zakończenia dnia. Więc... kręcą się wokół swoich spraw domowych, ja to wszystko obserwuję spod tego dachu... I w pewnej chwili, czułem, że sen mnie zмага, więc... głębiej zaryłem się w sianie i zaczynam drzemać. Ale słyszę, że ten ojciec jego zbliża się do stogu. Mało tego, po drabinie wchodzi na górę i widłami w to siano, gdzie ja jestem... Wbija te, te widły, tak, że jak ja się ledwie odsunąłem, nie wiem, czy dziesięć centymetrów dzieliło mnie od, od tych widel, od końca, jak on tak wepchał... Byłby mnie, he, he, przebił. Na szczęście ja się na sam brzeg, drugi, przeciwny usunąłem. Nabrał siana... I do stajni zaniósł. A ja zostałem na noc. Także rzeka chlupotała tam. Słyszałem w dole. Trochę... trochę zimno mi się zaczęło robić. Zacząłem drzeć. Więc zakopałem się dobrze w sianie. To siano kłuło. Ale tak przedrzemałem do rana.

Rano, skoro świt, jeszcze oni nie wstali. Ja zlazłem po tej drabinie i tak jak pamiętałem, tą drogą, jakżeśmy przy... przyjechali, tą drogą zacząłem wracać. Pierwszy raz w życiu poza domem byłem. I całą tą krętą drogą, no, bo, bo te górskie drogi to są serpentynami przecież, tymi serpentynami... Ja tylko, rozum mi nakazywał, żeby wciąż w dół, wciąż iść, jak już byłem na tej... wierzyłem, że ona mnie zaprowadzi do Borysławia. A to jakichś chyba ze czternaście kilometrów ze Schodnicy jest do Borysławia. Ja te... Ja szedłem tą drogą, szedłem, no i doszedłem do domu. Więc,

proszę pana, ja te rzeczy opisałem w tej książce, którą pan ma. Tam jest to, nie wiem, czy to pan napotkał. Bo mnie tu dusi pan o każde słowo, a tam ja to wszystko tak ładnie opisałem. Tak rzetelnie i tak pamiętliwie jeszcze, wie pan, tak nie, nie jak dzisiaj. Jeszcze bardzo dobrze wtedy... Trzymałem w ogóle tę całą wiedzę, jakby wiedząc, że kiedyś muszę napisać i napisałem to, a po napisaniu widzę, że już teraz to już ani połowy, ani bym nie pamiętał z tego. To wszystko jest w książce. No i proszę pana, na następny dzień przyjechał ten chłopiec, zobaczyć, czy ja jestem w domu. I ze siostrą swoją, dorosłą siostrą, zaniepokojeni. Dowiedzieli się, że jestem w domu. No, i taki smarkacz, sześć... sześćoletni, po raz pierwszy poza domem, wystarczyło mi usłyszeć, a po coś go zabrał ze sobą, żeby, proszę pana, na takie, na takie przygody się narazić.

[„Mój Paryż nad Dunajem”] Bardzo czytelne, bardzo obrazowe, bardzo rzetelne. I każdy tam... każda osoba, przeze mnie tam opisana, czy to brat, czy siostra, czy matka, czy coś... to są bardzo wierną... fotografią mojego życia. Moich, w stosunku do nich myśli, uczuć... Najważniejsze, że ja chciałem być wierny temu bardzo, przeżyciu swemu, żeby to było takie prawdziwe. Żeby tam nic nie skłamać, żeby jak najrzetelniej uchwycić naturę tych ludzi, i swojej własnej nie upiększać - a nawet czasem, czasem wykazać swoje słabości, swoje wady, bo - chciałem być prawdziwy. Dlatego dziwię się, że ta książka nie znalazła jakiegoś odzewu. Zajmują się różnymi ludźmi, którzy coś napiszą, ciekawe, że akurat to... ta... zostało w milczeniu, podsumowane. W całkowitym chyba nie, gdzieś były recenzje z tego. Były? Ja nie wiem, czy były. Dla mnie człowiek, który pisze, jest tak ciekawym już okazem, to samo, że on pisze, że on czuje potrzebę pisania, że jak pisarz coś o sobie napisze, to mnie to ogromnie ciekawi - jaki on jest, żeby, żeby... podglądając tego człowieka. Jak on z bliska wygląda, taki człowiek, który pisze. I dlatego mnie tak dziwi, że... że to nie miało odzewu większego. Wiem, są tacy - wytypowani pisarze, ludzie i - „chodliwi” tak zwani. A inni... a o innych, to się... to się milczy. Tak dochodzę, że to życie jest z ziem utraconych. Że to mowa jest o ludziach tam pozostawionych, o historii Polski - tam zostawionej, i żeby... żeby t o nie interesowało, żeby, żeby to... żeby jakies byle głupstwo inne zawracało głowę, a... a rzetelne życie i... prawdziwe życie, historyczne życie, było obojętne.

Z najmłodszych lat, to potem ... sam siebie zawsze pamiętam, na przykład - w łóżku, rano, jeszcze... jeszcze inni śpią, ja... ja już nie śpię i rozmyślam, i marzę. Zawsze sobie marzyłem o czymś takim... myślałem, o czym czytałem... „Bajeczki prawdziwe”... i któż to napisał? Teraz już... tak długo pamiętałem., kto to napisał, „Bajeczki prawdziwe”... i, i nie pamiętam autora. A to tak piękne bajki były. O zwierzętach, o Chrystusiku, który jako dziecko malował barwami czyżyka, więc w miseczce, w każdej miseczce została inna barwa, i on z tych... maczał tam pędzelkiem w tej resztkę... i... i dlatego... dlatego czy... czy... dlatego szczygiel ma tyle pięknych kolorów - tam i czarny, i brązowy, i czerwony, i biały, i... Wreszcie klasnął w ręce i... i te ptaszki poleciały. Tak, taka.... takie śliczne bajki, „Bajeczki prawdziwe” i... czemuż

ja zapomniałem nazwiska autora? I to były ilustrowane. Nie mówiąc już o bajkach Andersena, przecież ja byłem czytelnikiem bardzo wczesnym, bo już pięcioletni, to umiałem czytać. Siostra mnie nauczyła czytać... Stawiała garnek, odwrócony dnem do góry, na krześle, na tym ja siedziałem i tak - pisałem i czytałem. Uczyłem się pisać... byłem czytelnikiem już bardzo wczesnym i to bardzo rzetelnym. Pod... to, co czytałem, to pod... pod poduszką trzymałem. Rano, jak tylko się obudziłem, to już tam sięgałem po to. Tak i Biblia do mnie trafiła w tamtych czasach, miałem pięć lat. Całą noc... o tym, co z synem, z tym olbrzymim nożem, co na ofiarę Panu Bogu chciał... Abraham. Abraham.... Aabraham, ja mówię, Abraham chciał poświęcić Izaaka, no i anioł... - to było ilustrowane - anioł zatrzymuje mu rękę, żeby... żeby nie zabił syna. To wszystko działało na moją wyobraźnię.

A przez okno jakie... jakie rozmaite rzeczy widziałem zawsze ciekawe, bo okno wychodziło na ulicę, a tą ulicą, która się nazywała Kolejowa, przyływały, przesuwały się wciąż jakieś pojazdy i... i wieźli na przykład takie kotły parowe, duże, na kołach, i to, to w szybie używali do... właśnie do napędzania tej maszyny, która wierciła. To nieraz dwadzieścia cztery konie ciągnęło... Kocioł parowy, ciężki, tą drogą. Bili to batami, ja na to wszystko patrzyłem. A te konie obserwowałem, ich życie, i ich odpoczynek, ich sikanie... pod siebie. Te olbrzymie penisy, jak... jak zwiększały się od... od chęci oddania moczu i jak potem zmniejszały, kurczyły, to wszystkie moje obserwacje tego rodzaju były... I to śnieg, zamarznęty, zamarznęte ulice, wróble szukające w końskich... w nawozie resztek ziaren... jako pożywienia. To, to wszystko było bardzo ciekawe. W ogóle, to życie ciekawiło od samego początku.

I za... zaczynam z trudem mówić. Takim, takim to przyjemnie gadać [w telewizji, gdzie akurat „Dracula”], ja... ja mam trudności z mówieniem. Za duża samokontrola. Za... za duże... za duża niewiara w to, że ja coś łatwo mogę. Ja muszę wszystko z trudem zdobywać i... i takie przekonanie już pcha mnie właśnie do... do tego, żeby każdą rzecz... Mnie żona nazwała „trudmanem”...

21 lutego 1998 r.

Nocowałem u Jachimowicza. Rankiem wychodzę kupić coś na śniadanie, dla siebie, on ma własne zapasy, których nie chcę uszczuplać. Ponieważ jest świetna pogoda, jakby już wiosenna, namawiam go na pierwszy spacer w tym roku. Idziemy w stronę Szczawna. Tędy chadzałem z moimi psami. Śnią mi się teraz moje psy. Czasem są razem, czasem po kolei, takie miłe są, tulą się do mnie. Nie chodziłem - latałem tędy, jakbym miał skrzydła u nóg. Taka znajoma, co mieszka tam, koło szkoły, chciała mi ofiarować laseczkę po swoim mężu, ale ja się jakoś nie mogę przekonać... Te miejsca zapamiętane z psami, pamiętam, jakbym wciąż widział, że tu, tam poleciał, tu coś wygrzebał, tu kupę walit...

Wracamy po nadspodziewanie długim wypadzie, idziemy skrótem, przez bezlistne zarośla, dróżką na zapleczu komórek i garaży. *O, to sikorka bogatka - to cing i cing, czarny łebek i żółtozielony brzuszek, czarny pasek pośrodku brzuszka i zielonkawe plecy... Wie pan, jak tam w Budapeszcie mój szef łapał sikorki na balkonie - zawsze kilka mieliśmy tam w klatkach - i były raz dwie, bogatka i mniejsza, z niebieskim łebkiem, sikorka modra. Rano przychodzę, patrzę, ta modra leży martwa. Nic, żadnych śladów. Aż potem okazało się, jak zrobiłem jej sekcję, że tu, z tyłu, otworek miała na karku i tamtędy ta druga, silniejsza, mózg wyciągnęła i zjadła. Ale jak to dokładnie było zrobione, precyzyjnie, mózg ma taką oponkę, jak myśmy preparowali, to mózg się z tą oponką wyjmowało - to tak zręcznie tamta to z tą błonką wyciągnęła....*

Ten zakład nasz był na Górze Zamkowej, Pod Basztami mieszkaliśmy, a niżej schodziło się schodami w stronę Dunaju i rząd kamienic, który oddzielał, zasłaniał widok od Dunaju - tam był taki mały placzyk, a na tym placyku szkoła muzyczna. Były mrozy wtedy w Budapeszcie i jak raz, z takim moim kolegą tamtejszym, zeszliliśmy, to pod drzewami, pod kasztanami znaleźliśmy zasłane wróblami. Leżały martwe. Ulica Karpia się nazywała. Od strony Dunaju stały wojenne okręty - i na tych okrętach marynarze, żołnierze - Węgrzy, Włosi, Anglicy tam byli - i urządzali tam sobie pikniki, i godzinami potrafiliśmy się zabawiać widokiem tych marynarzy. Wyglupiali się, tańcami rozmaitymi... Dunaj to wspaniała rzeka, zielona była woda, a jak przyjechałem po trzydziestu ośmiu latach, to już brudna woda, pełno oliwy...

Jesteśmy już w domu. Coś tam robi przed lustrem w drugim pokoju. *Pomyśleć, że były kobiety, które zachwycaly się moimi niebieskimi oczami, a teraz ja nie widzę w lustrze swoich oczu... Znajoma pani, taka bliska, Wyki... Zawsze były te kobiety moich przyjaciół, podziwiałem je, byłem pod wrażeniem... Narzeczona Maćka Zwillicha, ona miała ręce jak lilie, niestychanie piękne. I potem, jak ich zamordowali, to ja sobie wyobraziłem te ręce zakopane w lesie. Nigdy nie widziałem takich rąk, jak miała ta Ania, córka lekarza, jakiegoś specjalisty, że nawet Niemcy go oszczędzili, że rodzice przeżyli, a ona zakopana gdzieś tam, w Borysławiu... Czasem śni mi się Maciek, rozmawiam z nim, dziwię się, że wszystko to przetrwał, potem budzę się - i niestety, tylko we śnie się zjawia. Olbrzymie znaczenie mają przyjaźnie. Uszlachetniają nas - bo co dobrego, to od przyjaciół spotyka. Dlatego pamiętamy... I nasz obraz w oczach przyjaciół też jest szlachetny - i dlatego mamy czego żałować, że nikt tak nie zobaczy, jak ten przyjaciel widział...*

A jeszcze na dzień przedtem, jak go zabrali Niemcy czy ta ukraińska policja - Maćka, z ojcem, matką, narzeczoną - jeszcze na dzień przedtem mówił, czy może przyjść na noc. Zawahałem się, bo miałem żonę i tego Cześka, pasierba - ale powiedziałem, przyjdź. A on powiedział, że jeszcze czuje, że nie musi dzisiaj, że nic nie będzie... Ja wróciłem z pracy - jako stróż nocny - i spałem, a żona wyszła rano na ulicę i widziała, jak ich zabierali. Miałem wyrzuty sumienia, że się zawahałem, on to widział. Może

gdybym się nie zawahał, to byłby przyszedł. Długo mnie ta myśl męczyła, długo - długo, to znaczy: na zawsze... Żeby człowiek wiedział, że życie jest takie trudne, to inaczej by je szanował. Bo nie wiedział, że sumienie to jest taka rzecz, która nigdy człowieka nie uwalnia od jego grzechów. Nie wiedział, że szanując kogoś, szanuje siebie.

25 lipca 1998 r.

Przez to kalectwo oczu więcej mi się śni. A Chmielowiec śni mi się codziennie. Przepraszam za skojarzenie, ale także moje psy śnią mi się co dzień. Śni mi się to, co było bliskie. Śni mi się życie.

Życie wyczerpuje bardziej niż się nam zdaje. Wszystko się sumuje – z rzeczy zdawałoby się nieważnych robią się najważniejsze, a nawet kończy się nasz los... Człowieka zastanawia to, że było tyle ludzi, tylu bliskich, znajomych – i wygasa to, wygasa, życie sprząta to wszystko, zostaje pustka. Jutro niedziela – to znaczy samotność.

3 października 1998 r.

*Zaczyna co prawda od wręczenia mi kopii spisu wypożyczonych rzeczy, ale potem już bardzo delikatnie mówi o przetrzymywaniu przez nas jego brudnomaszynopisów, że nieprzyzwyczajony do tak długiego rozstawania się z powstającymi wierszami, że przywykł pracować nad nimi stale. Później, samorzutnie, przynosi stos nowych zapisów, ciekaw jest ich oceny, jak to się ma do tego, co pisał uprzednio. Mówię, że w niektórych brak jego charakterystycznej „konieczności”. *Ale czy warto? Czy to coś warte?* W tym nowym zestawie odkrywam ten sam utwór, co w poprzednim. Dodane są dwie linijki, ale poza tym jest sporo zmian w wersyfikacji. Czytam mu obie wersje, ale on bezradnie kręci głową, próbuje w paru miejscach rozstrzygnąć, pyta o potwierdzenie, wreszcie mówi, że nikt tak nie rozumie jego twórczości, że mam wolną rękę w przepisaniu tego wiersza („Ciężar etyki”).*

W istnieniu zawarta jest świadomość, a nasze wysiłki duchowe służą wydobyciu tej świadomości. Ciekawe, że zagadnienie grzechu wciąż wraca, kiedy myślimy o swoim życiu. A robimy to, bo nie umiemy inaczej. Jednak oczekujemy jakiegoś oczyszczenia. Żal mi, że na tyle nie wierzę, aby wierzyć w grzechów odpuszczenie. Dla zdrowego, młodego to nieważne – ale niestety, to się sumuje i obciąża nasze całe życie... To nie moralizatorstwo – to bardzo smutna ocena swojego życia. Bo się tych grzechów nabiera... Nic się nie zapomina.

Do mojego tekstu omawiającego jego wiersze dopowiada, że ta tajemnicza postać z „Białych nocy”, będących transpozycją snu, to zło, ten ktoś miał go doprowadzić,

dopilnować... Potem mówi, jak niegdyś, że to jest właśnie współpraca, że tak wygląda nieśmiertelność sztuki, twórczości, przenoszenie ze świadomości do świadomości. Zawieszając głos, wpatruje się przez moment we mnie zmrużonymi, załzawionymi, niewidzącymi oczami. Już w korytarzu, przy drzwiach, mówię – Niech pan nie umiera, wystarczy, że umarł Herbert.

13 stycznia 1999 r.

Czytam mu fragment początkowy „W poszukiwaniu czasu przyszłego”, który właśnie posłałem do „Pomostów”. Ma w oczach łzy. Mówi, że zmusiłem go do tego, czego nie można ukryć. Pośpiesznie, ze wzruszeniem godzi się z tym, że w tych najwcześniejszych jego wspomnieniach, jakie wykorzystałem, jest zawarty cały późniejszy rozwój. Ujmuje to w ten sposób, że jego twórczość rośnie, wyrasta jak las właśnie na tym. *Ciekawe skąd ten aparat wrażeniowy taki świetny, skąd pan tak nie potrafi obronić się przed wrażeniem, doznaniem w drugim człowieku... To jest dziwne, jakich ludzi człowiek spotyka - rzucony właśnie między gwiazdy - spotyka ludzi, jacy są mu potrzebni, więcej, którzy są uzupełnieniem jego samego.*

Syn pasierba przepisuje mu na komputerze nową książkę. Pokazuje dwie wersje - jedną w takiej konwencji, jaką całe życie stosował i przy której nieco z nim współpracowałem przed rokiem, polegającą na ustanawianiu w obrębie tomu podziałów opatrywanych odrębnymi tytułami - i drugą, chronologiczną. Pyta, co o tym myślę, ponieważ jemu się zdaje, że w takim najprostszym następstwie czasowym tekstów chwyta jakby układ tworzony przez samo życie.

To jest walka o etykę, trud etyki - jak to napisałem w jednym wierszu. Myślę, że udało mi się to dobrze ująć. Ja siebie nie mogę przyjąć w wielu miejscach. Walka, do ostatka - mało, że życie walczy ze mną, ja sam ze sobą walczę. To jest to. Pokonujemy z trudem kłopoty życiowe, ale nagrodą dla nas jest potem to rozumienie świata. Z takiej to rozterki się budujemy, z tego powstajemy - my.

Zauważam, że i on był w swoim czasie pisarzem emigracyjnym. Co prawda nieco odmiennie, w preinicjacyjnym jeszcze okresie rozwoju. Że stąd - jak mi się zdaje - nastawienie patriotyczne, utajone w tle całej jego liryki, która miała być przecież „poezją czystą”. Podchwytuje z ożywieniem, tak, tak, oczywiście, przecież widać to najlepiej w „Jaskółkach jutra”. Chwilę się zastanawia - *nie chciałbym tego powiedzieć tak łatwo... ale to chodzi o miłość ojczyzny... Stąd te moje tłumaczenia, Petofi, że on pisał o ojczyźnie, tam dużo tego jest, tam ta tęsknota za ojczyzną i dzięki temu... Petofi - właśnie on, nie jakiś poeta współczesny, nowoczesny, a właśnie narodowy.*

19 stycznia 1999 r.

Moje nogi... darcie w nogach, w nocy, nieraz całą noc... Obumiera to... ale umiera z bólem...

Przyboś mi się śnił, bardzo przyjaźnie. Nie wiem już o co chodziło, ale mówił, że twardo się tego trzymać trzeba. Zostawił mi jakąś książkę, z której nie mogłem odczytać nic. Cieszyłem się, że coś będę mógł nareszcie przeczytać, ale na każdej stronie, gdzie otworzyłem, to samo, jedno słowo, nie pamiętam jakie, z góry na dół... A Chmielowiec co noc mi się śni. Śni mi się także żona moja, jedna i druga, ale Chmielowiec co noc. Jako młody - tyle lat razem, takie życie to było - dobrze mi się śni, przyjaźnie. Jeszcze bardzo miłe są sny z psami, wdzięczą się do mnie, każdy po swojemu...

Ciekawy był mój wpływ na Kazia Chmielowca. To była moja stała asysta. Było tak, że wszystko robiliśmy razem, a w Boryslawiu tośmy razem chodzili po górach. Jednego dnia zrobiliśmy pięćdziesiąt kilometrów. Wróciliśmy wtedy, pamiętam, ledwie żywi. Ja cały czas walczyłem, aby pisał. Żona moja, pierwsza, matka Czeška, powiedziała o nim - kiedy się ożenił i wyprowadzał do Warszawy - on już nie będzie pisał. I rzeczywiście. Z Warszawy przyjechał za jakiś czas - bezkrytyczny. Coś mi czytał, jakieś wiersze, ale... Nie wiedział, co jest u niego rzeczywiście dobre, a co nie.

Kiedy coś chwaliłem - ja go wtedy tworzyłem. Wmawiałem w niego poetę. Ja mu coś tam poprawiałem w tym „Trudnym darze” - a on się bał mi to pokazywać, bo uważał, że jestem o jego sztukę zazdrosny! On się bał, że jak da w moje ręce, to ja mu połowę wyrzucę. A ja ani jednego wiersza mu nie skreśliłem, a uprzytomniłem, co tam było ważne. Moja siła w tym była, że ja nie byłem naiwny, że żądałem więcej niż mogłem dać... On był bardzo subtelnym poetą, ale naiwnym. A sam tak to ujmował - Jachimowicz tyle książek napisał, a ja taką jedną cienką książeczkę - co znaczyło, że ja co prawda dużo, a on mało, ale j a k ! On nie rozumiał, że moja zgryźliwość, nachalność - to była moja pomoc. Te moje wszystkie doradzania sprawiły, że był jednym z najlepszych poetów, jakich poznałem.

Ja bardziej w niego wierzyłem niż on sam. Był bezkrytyczny. A to trzeba namartwić się swoimi rzeczami, aby one były dobre. Ja miałem zdolność martwienia się sobą - i bez tego martwienia się właśnie nie byłoby mnie. On tego nie rozumiał. Wiedziałem, że w nim drzemią wielkie zdolności... on się przerzucił na te tematy... na jogę... On jeszcze w Boryslawiu ukrywał to przede mną. Zdawało się, że tak się otworzył przede mną - a to ukrywał. A to była jego naiwna wiara. Ze szkodą dla niego, to znaczy - dla jego poezji, bo może tamto było w jego życiu potrzebne. Trudno powiedzieć, czy to było potrzebne, czy poezja... I czasem robił mi takie afronty: A czy ja muszę pisać? Aby się pozbyć tego sumienia swojego. On był kimś przez to, że ja w niego wierzyłem. I śni mi się bardzo przyjaźnie, jesteśmy bardzo bliscy sobie duchowo. To był człowiek, który korzystał z całej mojej - z trudem zdobywanej - wiedzy o poezji. On to dostawał za

darmo - wiedzę o świecie, o poezji, o wierze... Tylko że on wierzył w to, w co ja nie mogłem nigdy uwierzyć...

Jego matka była wierząca, taką wiarą... wprost ludową. I ona mu to przekazała. I on nie mógł nie wierzyć. Przy kościele mieszkali i przy kościele trochę żyli, ta matka opierała księży - a nie widziała tego, nie widzieli tego, że oni jej za to bardzo mało płacili. Nie widziała tego wysysku. Kaziem zainteresował się już wcześniej pewien taki robotnik, o lewicowych przekonaniach, no, socjalista. On go zaczął kształcić. Potem trafił do mnie.

Właściwie to on jeden, można powiedzieć, z całej tej rodziny był normalny. Jego brat był żebrakiem, na wózku, już tam, w Borysławiu, a potem tutaj był znany, siedział zawsze pod kościołem. Po prostu - żebracza dusza. Kaziu tego bardzo się wstydził... Dlatego ja nie chciałem z jego żoną rozmawiać. Ona tu przyjechała i przyszła do mnie, jako do jakiegoś źródła wiedzy o Kaziu... Jeden brat żebrak, siostra - nie wiem co tam jej było, ale zdaje się miała mózg nie w porządku. Jego drugi brat był w porządku, ale Kaziu był jedyny, który miał wykształcenie. Odstał od nich. Miał szesnaście lat, jak do mnie trafił - miałem na niego wpływ większy niż ktokolwiek, niż szkoła. On u nas - ze mną, z moją żoną - miał lepsze porozumienie niż ze swoją rodziną...

Miał swoje dziwactwa... Panie Kaziu, dlaczego pan taki dzisiaj niewyraźny? - A, nie wyspałem się, musiałem się na drugi bok obrócić... Albo kiedyś był u mnie i popielniczka - paliłem wtedy papierosy - spadła mi z parapetu na dół, do ogrodu. Mówię, panie Kaziu, mógłby pan zejść? Poszedł - i nie ma go, nie ma. Wychyłam się, a on trzyma popielniczkę i tak się rozgląda dookoła. Czego pan tam szuka? Nie mogę jeszcze popiołu pzbierać... Później także zawsze były z nim jakieś historie. Mój pasierb, Czesiek, mówi o kimś, kto jest dziwakiem - „kaziowaty”.

Raz pojechaliśmy z Nušką samochodem na wakacje i jego też wzięliśmy ze sobą. Kawal Polski objechaliśmy i - pamiętam - dotarliśmy do Lublina, i on musiał wcześniej wrócić. Odwieźliśmy go na dworzec i staliśmy jeszcze na peronie ileś tam minut czekając na odjazd, a on stał w oknie i - wie pan! - ani razu na nas nie spojrzął! Gdzieś tam sobie patrzył przed siebie, w niebo, bo ja wiem? Pojechaliśmy razem do Związku Literatów, do Warszawy i spaliśmy w domu ZNP na Powiślu. Rano wychodzimy i trzeba było przejść przez most Poniatowskiego. Ja na tym moście już spostrzegam się, że zapomniałem płaszcz, mówię - ja tutaj będę stał i czekał, a pan niech się wróci. Ale znudziło mi się długo stać, to - pomyślałem - będę w stronę Warszawy szedł i potem zaraz wrócę. Doszedłem do końca - widać przecież, bo i most, i cała perspektywa doskonale widoczna - a on z tym płaszczem stał w miejscu, gdzie się rozstaliśmy... On zawsze po swojemu myślał, a to co myślał było tak oryginalne, że się nie zgadzało z innymi... Był dziwak, kaziowaty. Kaziowaty!

„Poranek zastuka sytą fasolą...” - on - w Polsce niepodległej - był niedożywiony, on mdał, mdał z głodu. Nikt o tym nie wiedział tutaj, z jakiej on był rodziny. Pewnego razu widzę, biegnie stamtąd, od siebie - to chatka taka była, z wąską grządką przed niskimi oknami, w jednym roku słonecznik tak wyrósł, że tę jego chatkę przerósł - widzę, że biegnie do mnie. A tam gdzieśmy mieszkali były przed domem dwa stopnie. Patrzę - potknął się. I już mdleje! Ale to także taką świeżość mu dawało, jak się z czymś nowym stykał, taką delikatność, że - właśnie - śpiąc raz się obrócił i już się nie wyspał... To i tak dziwne, że on siedemdziesięciu lat dożył...

Przygotowywałem, przyuczałem go w różnych sprawach życiowych. Jak tak chodziliśmy w lasach - jak mówiłem, zrobiliśmy jednego dnia pięćdziesiąt kilometrów - nieraz gorąco było. To przyzwyczailem go, że nago się kąpałem. I jego też ośmieliłem, że nie ma co wstydzić się swego ciała. Tam w Borystawiu był dół, gdzie się wszyscy kąpali. Myśmy też poszli tam kiedyś z Kaziem - i wtedy zobaczyłem jego ciało, nagie, pierwszy raz - pokryte całe czerwonymi plamkami, pchłami, jak różyczka! A on już szukał czystości, bo już bywał i u nas, a nie zdawał sobie sprawy, że to ujmę może przynosić, te ślady po pchłach!

Muszę panu zdradzić tajemnicę, że Świrszczyńska się nim interesowała. Byliśmy kiedyś wszyscy w Kłodzku, na twierdzy, i ja robiłem zdjęcia, z góry, bardzo ciekawe, nawet jedno do „Odry” wysłałem i wykorzystali. Jak wywołałem, patrzę, a na jednym zdjęciu Kaziu i Świrszczyńska, z daleka, taka w niego zapatrzona, aż szyję tak jakoś skręciła... Jak mu powiedziałem, w jakim ona jest mniej więcej wieku, to był bardzo zaskoczony. A ja jej powiedziałem, że to dziwak, że on się nie nadaje na męża. Ona mi na to, taka zaskoczona, że wcale nie chce, ale czułem, że tak nie jest, że jest zainteresowana. Jego naiwnością. Kobieta czuje, kto może być jej powolny, taki chłopak... Ja jej nie powiedziałem, że ona się nie nadaje, ale że on się nie nadaje... Swoją drogą, toż to by była para - Kaziu, taki naiwny, i ona, taka doświadczona kobieta... Na tym zdjęciu ją przyłapałem.

Któregoś dnia przyszli tutaj i ona w natchnieniu mówi - myśmy przeszli na „ty” - proponuje mnie na trzeciego. A Kaziu też, jak i ja, zaskoczony. Ja jej wytłumaczyłem, że nie mogę, on też mówił, że jest już tak przyzwyczajony. Ja nie chciałem, bo to nie był mój partner w sensie wiekowym. Miał szesnaście lat, jak do mnie przyszedł i stosunki nasze były - jak opisywałem, był uzależniony... Ja pierwszy nazwałem go panem, on był smarkaczem, nieśmiały. Ja go zrobiłem „panem”...

Wiem, że Bóg patrzy na nas miliardami gwiazd. Mój Bóg jest większy niż Bóg wierzących... Ja walczę o wielkość Boga. Miliardy gwiazd - to jest Bóg, nie taki, co tworzy w siedmiu dniach świat. Ja w takiego dopiero Boga mogę - nie! - muszę uwierzyć! Bo mój Bóg jest Wszechistniejącym Bogiem. Ale nie w ludzkiej postaci... Ja

nie jestem obywatelem Ziemi, jestem obywatelem Wszechświata - ten Bóg dopiero jest tak olbrzymi... Ja wiem, wiem, że tak jest... Taki jakiego nawet sobie wyobrazić nie można... To że mnie ktoś zakwalifikuje jako niewierzącego, to mnie śmieszy. A na pewno jesteśmy obywatelami Wszechświata. On jest wszystkim, my w tym jesteśmy wtedy, kiedy znajdziemy Go w sobie, to będzie dopiero nasz Bóg, inny od innych... O tym właśnie myślałem w ostatnich dniach, że ja jestem obywatelem Wszechświata - i to mamy dopiero prawo powiedzieć, kiedy jesteśmy na tropie Boga, na własnym tropie... A ponieważ tak jest, tak myślę, czuję, że będą jeszcze nowe wiersze na ten temat...

Pojęcie grzechu, nie wierzę w odpuszczenie grzechów, myślę, że moje grzechy nie będą odpuszczone, że ta odpowiedzialność... Ja się z tym moczuję, walczę, nie przychodzi mi to lekko - dokończenie tego życia... Rozważam to właśnie, i coraz mi ciężiej rozważać to - i warto te ostatnie wiersze pod tym kątem przeczytać. Właśnie ta walka o wielkość Boga - ten właśnie tytuł. Żeby każdy mógł w to wierzyć i żeby słuszne to było, że wierzy w takiego Boga... Właśnie to mi się jasno objawiło, jakiego to świata jestem obywatelem - Wszechświata. To ważne, że pan się nawinął, pan jest, pan widzi - bo mówią, że niedowiarek itd. Ja - niewierzący - walczę o takiego Boga, w jakiego m u s z ę uwierzyć! W innego nie można.

Chrystus, Chrystus to jest Syn Boży - w takiego Chrystusa wierzę, że rzeczywiście istniał, rozszerzył tego Boga, udostępnił. Ja wiem, że to był wielki człowiek religii i nauczył ludzi piękna i wielkości ducha. Co jest ponad miłość? Wziął prostytutkę Magdalenę i zapytał - kto jest bez grzechu, niech rzuci pierwszy kamieniem... Przecież to nie trzeba być specjalnie religijnym. Chrystus jest rzeczywiście jak Bóg, ta Miłość, Miłość przeogromna, wszechogarniająca. Takim Synem Bożym każdy z nas jest, tylko w mikroskali - ale to co Chrystus wymyślił w dobroci swojej, jest wielką zdobyczą ludzkości. Właśnie ta Miłość wszechogarniająca... Ja uważam, że jest wszechogarniająca Miłość - Chrystus. Nie można nie wierzyć w to, bo to jest takie wielkie, tak samoofiarujące się, że tylko przyjąć to można... A ja, ten mały człowiek, wciąż się biedzę - kiedy to kalectwo oczu mnie dopadło, to ja właśnie siebie pogłębiam w tym kierunku, bo sam siebie odczytuję ciekawie w swoich wierszach, jak to się toczy ta walka...

Taką... protezą umysłu się człowiek posługuje, taką protezą jest komputer. Taką jak kij, by kogoś uderzyć, siekiera, by zabić. Jego mózg jest za mały i wymyśla protezy. I to także jest boskie! Nadludzkie. Że takie protezy sobie tworzy. Ja szukam siebie, czyli Wszechświata. Jestem częścią Wszechświata, jestem tym komputerem, który ma odnaleźć Boga.... W każdym razie na tropie Boga jesteśmy w naszych rozmowach. Teraz pan widzi, jak ktoś może mnie oceniać jako niedowiarka, jakie to naiwne jest... I wystarczy, że pokochamy po ludzku człowieka drugiego - po ludzku, nie jak bogi - to już jest boskie. I Chrystusowe jednocześnie. I wielkość Chrystusa jest w tej miłości

drugiego człowieka. I kto w takiego Chrystusa nie wierzy - nie wie nic o człowieku. Jak wyzwoliło to człowieka od wielu rzeczy, jak pogłębiło, że był taki człowiek, ponadludzki...

Od dzieciństwa żyłem w świecie wątpiących. Dlatego mnie to zagadnienie - o Bogu - wciąż intrygowało i intryguje. Zbyt łatwe przyjmowanie cudzej wiary zawsze mnie niepokoiło - przyjmują coś, czego nie rozumieją i nie potrzebują nic innego do tego tematu... Zdanie się na czyjeś zdanie o Bogu - to jakieś niesamowite nieróbstwo. Przyjmuje się coś o nas, co nie było opracowane przez nas samych. Jak u Leśmiana, pamięta pan - mów ty, bo ty jesteś lepszy mówista... Zdają się na kogoś, niech on się tymi sprawami zajmuje - bo ja sam nie czuję się powołany. Muszę panu powiedzieć, że moja obcość do tych rzeczy była taka już od dzieciństwa, że jak byłem pięć lat na Węgrzech, ani razu nie zajrzałem do jakiegoś kościoła. Dopiero jak później, po trzydziestu siedmiu, ośmiu latach pojechałem na Węgry, to przekonałem się, że było warto. A to wszystko dlatego, że uważałem, że są lepsi „mówiści” ode mnie. Ciekawe, że kościół pusty, bezludny bardziej mi odpowiadał niż zapełniony wierzącymi, tak zwany żyjący kościół. Większe wrażenie robił swoim odludztwem niż swoją ludnością. Pojmowałem wielkość Kościoła przez wielkość sztuki, która Kościołem żyła...

To było od dziecka - dzieci się bawiły, a ja rozumowałem, co one robią, co mogą myśleć. To była ta moja inność, to co mnie oddzielało zawsze, robiło ze mnie raczej obserwatora niż współdziałacza... I zawsze miałem wrażenie - taka megalomania - że ja lepiej wiem, więcej rozumiem niż oni, że nie ma co z nimi gadać. Stąd miałem opinię nieśmiałego. Bo stałem wobec jakiejś wielkiej Rzeczywistości, z którą muszę sam sobie poradzić, bo nikt mi nie pomoże... To jeszcze miałem przy mojej Mamie... Zawsze ze smutkiem żegnałem się z moimi partnerami zabawy - miałem setki, tysiące żołnierzy papierowych, powycinanych z papieru - żał mi było, że ten ktoś odchodzi, że nie przeżywa już tak tego jak ja...

Czytam mu trzy swoje opowiadania, między innymi „Łoże miłości”. Mówi, że nie opisuję świata, ale ten mój świat staje się w miarę jak jest opisywany. A odnośnie „Łoża” zadaje mi bardzo zdecydowane pytanie: Dlaczego pan się tutaj zrobił kobietą? To jest perwersja, pańska perwersja! Zawsze mnie intrygowało opisać pańskie wiersze. Widzę, że to bogactwo wyczuwane przeze mnie u pana ono istniało, istnieje - i bez niego się pana nie rozumie. Zdawało by się, że pańska naiwność istnieje - i to różni pana od innych - ale to, przy bliższym przyjrzeniu się, okazuje się wcale nie naiwnością, ale pewną właśnie perwersją. I - prawdę mówiąc - to się pańską inność zauważało w czytaniu pańskich wierszy, i nie to, żeby się nie doceniało, bo się doceniało, i na tyle się doceniało, że zdawało się, że stoi się przed czymś nowym, i prowokowało, aby odnaleźć pana, jakim pan jest. Ja o pańskiej poezji nie mogę powiedzieć, że ją znam, ja jej nie znam, nie przyswoiłem jej duszy, duszy rzeczy pańskich nie poznałem... To tyle dziś mogę powiedzieć, czym mnie intrygowała ta

poezja, nie pojęta, nie poznana przeze mnie. I to niepoznanie dowodzi, że tam się coś kryje, coś ciekawego - do opracowania. I chciałbym pana tak zrozumieć, jak pan zrozumiał mnie. A to wymaga pracy - czyli czasu. A czasu zawsze mi brakowało, aby powiedzieć, że poznałem, że przeżyłem, co widziałem. A tak możemy powiedzieć, że coś poznaliśmy, jeśli wypracowaliśmy coś w sobie, jeśli byliśmy w stanie współpracować z odkrywca... Pytali mnie - Wyka i Przyboś - chcieli zrozumieć, jak to jest z moim pisaniem, a ja odpowiadałem - dajcie mi tylko czas, a ja to zrobię... Jak piszę, dotąd jakąś rzecz męczę, aż staje się dla mnie nowa. Tylko czas decyduje o tym, czy coś zdobędę, czy nie...

Nagle pyta, czy znam jakiś wiersz Miłosza, który by mi się podobał. Usiłuję powiedzieć, że jest kilka takich wierszy, lecz widzę z wyrazu jego twarzy, że nie przyjmuje takiej odpowiedzi - takiego mnie - do wiadomości. *Dla mnie geniuszem poetyckim jest Przyboś, twórca nowych rzeczy poetyckich, jakich nikt inny tak nie określił. Natomiast żadnego takiego wiersza nie znam Miłosza. Wtrącam coś o erudycyjnym zacięciu tego poety. Owszem - kultura, owszem - wiedza. Ale gdyby był wielki duch poetycki - nie czuję. I tak jest, bo czym byłbym wtedy ja, jeśli bym tego nie rozpoznał? Nigdy Miłosz nie robił na mnie wielkiego wrażenia, że ja bym się coś od niego uczył. To jest ograne, po Mickiewiczu, to ani Mickiewicz nie jest... Nagrodę przyznano średniemu poecie. Ja nie rozumiem tego wyboru, prędzej bym Różewiczowi dał. Ale że takiemu człowiekowi dano, który nie budzi zainteresowania kogoś, kto jak ja lubi poezję... Już prędzej powiem, że Szymborska słusznie dostała, że to jej, że tylko ona tak mogła odczuć. Szymborska na pewno odróżnia się między innymi. A Herbert? Herbert - o, to co innego. On jest mi bardzo bliski. Tak bliskie są te wiersze, oczywiście niektóre. Bliska jest ta poezja Herberta, ale nie ta dawna, ale ta późniejsza... Kiedyś słucham radia, Zapasiewicz czyta, a ja myślę - co to? Moje rzeczy są dane? Tak mi się to podobało. Jak moja poezja - bo na tej samej zasadzie osadzone te wiersze. Tak zrobione. Można podsumować, że najbliższym mi poetą współczesnym był Herbert. Okazuje się, że między nami - mimo że on był dużo młodszy - była jakaś bliskość. Jak przedstawiał Przyboś: czysta poezja. Z całą pewnością nie mógł on, tak jak ja, nie zauważyć bliskości. Kiedyś powiedział - „a to taka gęsta jest pańska poezja.”* Dopowiada, że - z kontekstu tamtej rozmowy, czy wskutek wiedzy o artystycznych fascynacjach Herberta - skojarzyło mu się to określenie z emalią.

A Różewicz.. Różewicz sam o mojej twórczości powiedział - „tak, to jest kawał poezji”. Spotkaliśmy się na Plantach w Krakowie, ja miałem kilka wierszy opublikowanych wtedy w „Odrodzeniu”, a on właśnie wydał swoją książkę i mówi, że jego tomik wyszedł, a ja ze swoim już pewnie nie zdążę, bo już zdanowszczyzna nastawała wtedy w Polsce. Wyczułem w tym jego mówieniu jakąś taką złośliwą satysfakcję, że to się jemu udało, a mnie nie. I palnąłem tak wprost: Wie pan, ja już dziesięć lat z tą swoją książką czekam, poczekam jeszcze dziesięć! I jakbym to sobie przepowiedział - dziesięć lat równiuteńko! Taki był młody - jemu się udało... A to, że

w Krakowie mieszkał, nie w Wałbrzychu... A tak naprawdę, to ja byłem zaraz po wojnie pierwszy ze swoją „Scieżką konieczną”. Odebrał mi ten czas, że nie za mną poszli...

Człowiek się staje zarozumiały, że coś zrobił, że dotarło - do wybranych, ale zawsze... Człowiek zadowolony z siebie poddaje się tej przyjemności gadulstwa, ale to jest rodzajem pijaństwa, takie gadulstwo jest wyrazem zarozumiałstwa. Ale w takim samozadowoleniu nie można tworzyć. Wszystko co zrobiłem, to z samoniezadowolenia, z cierpienia, z tego, że jest się nikim, że urodziłem się taki, z takimi a takimi wadami i muszę z tymi wadami żyć... Schulz mi kiedyś powiedział, odnośnie moich ówczesnych trudnych spraw, kiedy się szamotałem, by nie utonąć - „Pan się powinien zdać tylko na swoją naturę, tyle ma pan wdzięku”. Albo kiedy indziej mówi: „Szkoda, że pana nie było, był Zegadłowicz, był bardzo miły wieczór, i nawet chciał pana poznać. Pan jest bardzo podobny do Zegadłowicza...” Oczywiście miał na myśli fizyczne podobieństwo.

To była dusza ciekawa, starego Żyda, co na siedem tysięcy lat liczy swoją kulturę, i to się wszystko w nim zeszło, w takiej gęstości. Mówi się, że on stworzył ten swój świat - nie, świat był jaki był, tylko aparat odbiorczy Schulza był taki, że on to zobaczył, że świat jest taki, potrafił oddać to... Jego ojciec był właścicielem sklepu z sukniem w Drohobyczu - zresztą, pamiętam, stosunkowo sporo było wśród tamtejszych Żydów takich dziwnych, pokręconych psychicznie postaci. Był taki, na przykład, któremu jak się powiedziało na ulicy – zagraj na katarynce – to zaraz zaczynał kręcić w kółko swoim członkiem... Uważam, że Schulz był największym polskim poetą w ostatnich czasach. Jeśli jest tak, jak gdzieś już to napisałem, jeśli na jednej stronicy Schulza jest więcej poezji niż w niejednym tomie czyichś wierszy, jeśli ja to widzę - a nie widzę tego u Miłosza - to chyba ja znam się na tym.

Życie to jest nieustanna praca – nerwów, wrażliwości – co żyje, reaguje... Przypomniał mi się Lec, on tam w Warszawie krążył w okolicy Związku, tam była kawiarenka, on tam siedział, ciągle coś notował...

1 maja 1999 r.

Teraz widzę, jak nie szkoda biedzić się nad jakimś zdaniem, nad wierszami. Mówi, że przedwczoraj do trzeciej w nocy czytał swój niepublikowany tom „Jak ptakom i aniołom”. Nic, że potem był w dzień niezdolny do niczego, to tylko chwilowe zmęczenie, a tamto, tamto - satysfakcja z pracy - dało mu na długo psychiczną siłę. Że to nie wariactwo, że to nie jest jakaś pasja oddzielona od życia, że to jest rzeczywistość uwięziona w słowach. Że to tak wspaniale się odczytuje później - i daje satysfakcję. Jak cieszą te słowa, których w poezji się nie czytało, te odkrycia, ten

„brylant kosmiczny - a to tylko rzeczywistość odbita od szyby. Że to odbicie jeszcze jak całe Słońce, że to umiało się zauważyć...

Proszę o egzemplarz maszynopisu, by przypomnieć sobie te wiersze. Patrzy na mnie uważnie i dopytuje się, który utwór właśnie odczytuję. Wybieram jeden, drugi, według swojego upodobania i mówię, czym mnie poruszają. Prosi, bym odczytał raz jeszcze, na głos.

ZNAK CISZY

W moich uszach szum

Ulewa szumu

*Wszystko co widzę
widzę przez szum*

*Szumi światło
w pionowych szczelinach
abazuru*

*Twój portret na ścianie
zasnuwa cień*

*Tu gdzie istniałaś
istniejesz przez złudę*

*W granicach cienia
podzwonny szelest*

*Bieleje krąg lampy na stole
Ekran przeszłości*

Po Tobie ciemność

*Tapczan
zalega ociemniały pled*

*Spoza lampy
błyska kryształowa cukiernica*

Skąd

*czerpaliśmy słodycz
ponad półwiecze*

*Ale
łyżeczka zanurzona
jak srebrny znak
Ciszy*

*Ciszy
której od lat*

nie słyszę

Poza oknami

Noc

*zanosi się nostalgicznym ujadaniem
psa.*

Patrzę przed siebie, poza stół, i widzę portret na ścianie, tapczan z opuszczonym pledem, cukiernicę. Widzę t o. Doskonale pamiętam jeszcze wiecznie przesiadującą - a później polegającą w ostatniej, przedśmiertnej chorobie – adresatkę wiersza. *A wie pan, że jak się uchwyci taką rzecz, to się uchwyci duszę tego człowieka. Że on jest w tej opisywanej ciszy. To już nie tylko ja się odbijam, ale i on.*

POD ABAŻUREM

*Deszczyk światła
o barwie prześwietlonej krwi*

Nad czym on zawisł?

*A cóż wieszczą
te krzyżyki
treflowe*

rozsiane na obrusie?

Gęsty cień nas otacza

Nas?

Mnie i przedmioty

Leżą szkła na krzyżykach tkaniny

*Szkła które
próbują zastąpić wzrok*

*Te na oczach
już nie starczą*

*Światła
które zraszały krajobrazy wiosen*

zasnuwa mgła

*Te same ściany
Sprzęty*

*Ręka z długopisem
na tkaninie w krzyże*

Ale

gdzie jestem - ja?

Skoro Ciebie

i nikogo już więcej

nie ma.

Jestem nie tylko lektorem, jestem jedyną dostępną mu w tej chwili publicznością i potomnością. Jestem kimś po unicestwieniu świata – skoro już Jej nie ma i nikogo więcej, spośród tych ukochanych bądź spokrewnionych. Jestem świadkiem istnienia dzieła, na które twórca jego patrzy – także poprzez tę zawiązującą się między mną a tekstem relację – widząc, że jest dobre. *Tak że się na darmo nie przeżywa klęski. Klęska staje się zwycięstwem z czasem. Nie przepada słowo, nie przepada coś, co było wynalezione. Cierpieniem. To jest właśnie ten płomień nie gasnący w nas. Kosmiczny płomień.*

Proponuje, abym czytał teraz po kolei, całą tę na razie tylko w maszynopiśmiennych kopiach egzystującą książkę. *Za każdym razem słyszę tytuł, jakoś sobie go wyobrażam, ale jest naraz nowy. Jest zwycięstwo, nie ma żadnego łabudzenia, jest zwycięstwo, tego mi było potrzeba – na chwile coraz cięższe, które przychodzą – pamięć tego czytania... Życie mi oddało w pańskiej osobie pełną satysfakcję. Można ocenić na tym tle naszą przyjaźń. Czy może być jednocześnie piękniejsza przyjaźń niż ta nasza, bo na tle sztuki, na tle największej zdobyczy, na jaką człowieka stać. Nieraz sam do siebie mówię, nad czym trawisz życie, nad słowami, ciągle słowa i słowa – a to jakieś świadectwo Istnienia.*

Narasta we mnie poczucie niezwykłości tego zdarzenia, wewnętrznego potwierdzania się tego, co mówi. Nie śmiem zresztą, dotknięty niespodziewanym tremendum, notować wszystkich jego słów. Mam wrażenie uwewnętrznienia, wnikięcia między twórcę a jego stworzenie. Stawania się narzędziem jego rozumienia, przypominania, uświadamiania, dopowiadania sobie i wreszcie – nadziei. Jestem narzędziem czującym, aprobującym wartości – współuczestniczącym wrażeniem we wrażeniu, wartością w wartości. Współdziałającym w zgodności woli. Kimś na kształt jednego z duchów posłusznych Najwyższemu w wielkim laboratorium świata.

Że to wszystko – tragizm i komizm.. Jak nieodłączne to od naszego życia, choćbyśmy tego nie chcieli. Jak człowiek jest zbezczeszczony później śmiercią, jakie fazy musi przejść do śmierci. Wie pan, ciężko jest w samotności, to nie jest żart. I wszystko co jest radością, co jest uświadomieniem sobie, że tak trzeba, jest ważne. Że to czytanie to było stwierdzenie rzetelności tej pracy poetyckiej przez nas dwóch, że nie szkoda było zajmować się tymi rzeczami. Nie zmarnowana energia, kiedy czujemy, że się udało - bo każdy z nas przeżywa chwile takiego chwiania się, niemocy, czy się udało, czy warto, to nawet wbrew naszym tak zwanym trzeźwym ocenom to się dzieje – kiedy nasza zrealizowana praca nas przekona, i nawet pigułka na przyszłość, pigułka entuzjazmu, pigułka wiary. Obserwujemy na co dzień w sporcie, jak bardzo potrzebne są – entuzjazm, złote medale – dla rzeczy, zdaje się nieraz, błahych. Co dopiero w trudnych sprawach, takich jak sztuka, jak to jest potrzebne.

2 czerwca 1999 r.

Końcówka rozmowy telefonicznej – *Cieszcie się tym życiem, dopóki możecie, bo ono tylko się skrada, aby zadusić człowieka.*

30 sierpnia 1999 r.

Jedziemy z Iwoną na wałbrzyski Stary Zdrój, do Jachimowicza Właśnie jest gosposia, trafiliśmy na środek jego obiadu – placki ziemniaczane z jogurtem. Dostajemy kawę i

– jak zazwyczaj – okrągłe herbatniki, które sam oszczędnie wyjmuję na talerzyk z wydobywanego z segmentu pudełka i wielokrotnie zachęca do jedzenia. Skarży się na wzrok, że od trzech dni nastąpiła kolejna skokowa zmiana, nie dostrzega dalszych szczegółów. Pokazuje dłonią mniej więcej zarys mojej postaci, że to dla niego tylko taka zamazana plama. Daję mu tomik Żurka – ze wstępem spisany przeze mnie z jego wypowiedzi. Czytam mu na głos, jest zaskoczony, trochę podstępnie usiłuje dojść, czy przypadkiem ja nie spreparowałem tego tekstu. W istocie zanotowałem co do słowa i w takiej kolejności, jak powiedział. Przekonany już, stwierdza, że jeśli tak, to nawet jest zadowolony z ujęcia rzeczy. Wciąż powraca do swego kalectwa. Mówi, że miał nadzieję *na dłuższe, łagodniejsze zstępowanie w ciemność*. Że zgodnie ze słowami Nałkowskiej umieramy zawsze w nieodpowiednim momencie. Cały czas usiłował coś zrobić, to znaczy pisać, a teraz już zupełnie nie jest w stanie. Rozmawiamy o zbiorach jego wierszy proponowanych „Wydawnictwu Literackiemu”, że mają prawdopodobnie wydać tylko jeden. Skarży się, że jest dla tamtych – nowych – ludzi kimś nieznanym, choć – pomijając nawet jego pozycję w polskiej poezji – dawnym autorem ich oficyny. Dopytuje się o moją pracę o nim, czy dużo ją posunąłem. Odpowiadam – trochę na wyrost – że mam mniej więcej jedną trzecią. *No, to myślę, że jak już jest jedna trzecia, to będzie i całość...*

11 września 1999 r.

Wczoraj, po dwudniowym bezskutecznym dzwonienu do Jachimowicza, zatelefonowałem do jego pasierba, Czesława Bugny i dowiedziałem się, że ojczym jest w szpitalu, po upadku i złamaniu główki kości udowej i obojczyka. Dzisiaj przyjechaliśmy do niego przed południem, lecz okazało się, że – mimo wcześniejszych odmiennych informacji – właśnie jest operowany. Wracamy po kilku godzinach – jeszcze jest na sali budzeń. Następny powrót – pan Jachimowicz jest już „u siebie”. Samotny w niewielkiej salce na parterze, z kroplówką i podłączonym na stałe niewielkim aparatem EKG, gdzie na czarnym ekranie bezustannie przesuwiają się niebieską i białą linią wykresy, a co sekundę pojawia się odczyt tętna. Zaskakuje nas bardzo dobrą formą psychiczną, potem wręcz humorem. Wciąż stara się mówić, mimo iż usta ma suche – *takie jak pergamin*. Kiedy mówi, cyferki na ekranie podskakują ponad 90, ponad 100...

Niehumor mi nie pomoże. Co sobie żałować, jeśli nawet w nieszczęściu jest okazja do uśmiechu. Że zlekceważymy nieszczęście. Korzystajcie z życia, póki możecie, taka pogoda dzisiaj piękna, takie widoki... To stało się w niedzielę, poszedłem na spacer, tą swoją ulicą, potem ulicą Bema – wie pan, gdzie jest ulica Bema tam koło mnie? – aż na sam koniec. Wracając, już pod domem prawie, asfalt był wycięty do robieniałaty, nie zauważyłem, zahaczyłem nogą... To było tak, jak bokser zadaje cios, taki... wymierzony, dokładny cios, i dochodzi... Tak byłem uderzony. Doskonale wykonane... zrobiło swoje, byłem bez jakichkolwiek możliwości... w biodro, łokieć... Ale znaleźli

się ludzie... Zawsze znajdują się ludzie, którzy dla interesu czy nie dla interesu zajmą się człowiekiem... Mądrzy są ci, co mają dużo przyjaciół, a ja rezygnowałem nieraz z przyjaźni, aby sobie rekompensować pisaniem.

Z wielkim trudem przeczytałem połowę książki tego poety, tak, Żurka, którą mi pan przyniósł. I rzeczywiście, mogę teraz potwierdzić to, co o niej powiedziałem, kiedy pan przeczytał mi jego wiersze, i zapisał, co tam jest zamieszczone... Stwierdzam, że to było słuszne zachęcić taką wypowiedzią do czytania... Ja nie wierzę w swoje żywe wypowiedzi. Ja zawsze z trudem pisałem, wymagałem wypracowania, dlatego nie wiem często, że coś interesującego na żywo powiedziałem. Było dużo skreśleń, bardzo dużo skreśleń. Zresztą pan wie, ja panu opowiadałem, jak ja piszę wiersz - że przez godzinę patrzę w okno i zapiszę jedno słowo, a potem pół godziny i skreślam to słowo... Czy w życiu tego naszego poety, Żurka, była strata kobiety? Tak coś sobie przypominam... Jest sporo ponurości w jego wierszach, w jego życiu - ale w czym nie ma? Niewiedza nas tylko chroni...

Opowiadam, jak przedwczoraj nieoczekiwanie - w znanym dobrze terenie, między Łądkiem a Gieraltowem - pomyliłem leśne drogi. Przywołuje swój incydent z najbliższych jego domowi wałbrzysko-szczawieńskich wzniesień, któredy setki razy wędrował, a skutkiem wyjątkowej mgły kluczył długo, wychodząc zupełnie gdzie indziej. I to zdenerwowanie towarzyszące wymykaniu się spod kontroli tego, co tak niby znane. Przypominam sobie, jak tam, koło Borysławia, poszliśmy z Kaziem Chmielowcem Była to góra Paraszka. To była wysoka góra, Kazio miał słabość do wysokich gór. I szliśmy w jej stronę, gdzieś tam zatrzymywaliśmy się jeszcze, zapadała noc, ciemno, nie pamiętam, czy były nawet gwiazdy. I miejsce, które nazywa się Działy Schodnickie, w południowym kierunku, gdzie też Schodnica, gdzie ja się urodziłem, dlatego Schodnickie... Doszedłem do przekonania, że trzeba macać ścieżkę - czy jest, czy nie. I jeden, i drugi - takich dwóch wytrawnych wędrowców, takich łazików - okazał się dobrym wymacywaczem. Trzeba było starać się wymacać, w którą stronę jest dół, co nie było takie proste. Ale doszliśmy do Tustanowic i potem do Borysławia. Innym razem też tak poblądziłem w lasach, że Niemiec chciał do mnie strzelać, ale to nie dzisiaj do opowiadania...

I muszę panu powiedzieć, że ja Kazia Chmielowca widzę w moich snach. On jest nie tylko obywatelem mojego życia, ale i obywatelem moich snów. Psy się śnią, różne, co do ilości i czasu... Nie wiem, czy wczoraj, nie pamiętam, ale coś przyjemnego mi się tutaj śniło - pies! Eros! Rosio, jak go nazywałem, mi się śnił - jak powiedziałem, że coś przyjemnego, to przypomniałem sobie... Dlatego mówię, że trzeba mieć przyjaciół. Dlatego, jak ma się przyjaciół - w takim czy innym sensie - to człowiek nie cały umiera. Umierając - nie cały umiera... Ale to przyjemna rzecz, jak myśmy się z Kaziem żyli. Pozostały gdzieś w pamięci te jego gesty, sposób bycia. Miał swoje powiedzenia, takie celne. Miałem jedną współpracownicę o wyjątkowo pięknej cerze. Bardzo

pięknej. On mówił, że to cera nie cerowana... Wciąż jest wesoły, o dziwo, emanujący energią, radością życia. Mimo że - jak mówi - cieszy się nami, cieszy go rozmowa, skraca nasz pobyt. Upomina, by już jechać, bo będzie się ściemniać. Chce mieć pewność, że nic nam się nie stanie.

16 września 1999 r.

Rozkosze życia, niezapomniane! - śmieje się ironicznie po usadowieniu go przez rehabilitanta na skraju łóżka i grymasie bólu. Kiedy mężczyzna wychodzi, mówi - Pasierb dał mu wczoraj dwadzieścia złotych. Jakby nie powiedział, to bym i tak wiedział, po co ci ludzie przychodzą - po dwadzieścia złotych! To miejsce tylu zmianom ulegało, tyle się tutaj działo, że żadne chyba nie było takie sensacyjne, jak to... Chodzi o to, że ktoś na tym zarabia, okazuje miłość braterską, miłość ludzką. Ale nie tylko to, mówię o tym, że hałaśliwie tak to robią. Dochodzę do wniosku, że ludzie bez takiego ruszania się, rzucania czymś, okazywania taniej energii, nie mogą żyć. Tylko buch! buch! - naczyniami, talerzami. Im więcej trzasku, tym więcej sensu... Rzeczywiście, dzieje się tutaj sporo. Wychodzę na korytarz, ponieważ następuje szybka zmiana opatrunku. Chwilę potem zjawia się dwóch sanitariuszy i asystuję przy pierwszym zejściu pacjenta z łóżka i paru krokach w przód i w tył. Równocześnie dwie kobiety zmieniają materac i pościel.

Kiedy wokół się uspokaja, mówimy o jesieni, którą widać na drzewach za oknami. Nie mogąc już tego dostrzec, wspomina barwy jesiennego krajobrazu i czasy wczesnej młodości. Każdy miał swoje odkrycia twórcze czy odtwórcze, przyjemnie było być z tymi ludźmi. W tym czasie, kiedy malowałem ten swój wiatrak [pierwszy obrazek], to taki Węgier tam przychodził. Też interesował się malowaniem. Jego specjalnością było malowanie gęstą farbą akwarelową, tak gęstą jak farba olejna. I ciekawe miał rezultaty tego malowania. Nieraz tak rozmawialiśmy... Nic cudowniejszego nie istnieje na świecie, jak taki cudowny dzień jesienny. Mieć czas - którego nie miałem - iść w pole z kasetą farb. Okolice Budapesztu, zalesione wzgórza, góry - bardzo dużo było tam takich malarzy.

Nie mogę tego odżalować, że kiedy miałem ten fach niezbyt dla mnie atrakcyjny, to jednocześnie spotkałem malarstwo. Amatorsko mogłem tylko uprawiać. Gdyby jakiś malarz czy rzeźbiarz się mną zainteresował - niestety. Ja byłem wciąż w pobliżu sztuki, mimo że nie urzeczywistniłem swojego malarstwa. Gdybym był wtedy samodzielniejszy, sprytniejszy, to poszedłbym do takiego rzeźbiarza czy malarza, jacy tam do nas, do zakładu przychodzili i pokazał mu swoje próby, i powiedział, że mogę u niego zostać. Za samo byle utrzymanie mógłbym podpatrywać tajemnice malarskie czy rzeźbiarskie. Już bym się od takiego człowieka nie odczepił. Nie powstała we mnie ta myśl, aby rzucić wszystko, uciec od brata. Trzeba było na to innej aktywności, nie mojej. Może byłem za poważny, może. Jedno - ja nie miałem natury posługacza, bo to trzeba by było mieć, to mi uniemożliwiło szybką ucieczkę od szarości. Nie było we

mnie cwaniaka. Ja pewnych rzeczy się wstydzę, miałem honor swój, nie chciałem być takim posługaczem... Trudno czasem zrozumieć swój prawdziwy interes...

Cały czas śledząc ekranik EKG spostrzegam, że ma wyraźnie niższe tętno. Także głos cichnie od czasu do czasu i przymykają się powieki. Broni się jednak przed zaśnięciem. Pod koniec mojej wizyty pojawia się obiad. Salowa nie ma czasu i proponuje mi karmienie chorego. Sam nie uznający tego rodzaju pożywienia, podaję mu kilka łyżek rosółu. *Zaglądają tutaj przez drzwi konie, krowy, osły, jak pan tak mnie karmi. Takie mam zwidzenia. Nie wiem, czy to jakieś lekarstwa mi dają... O, tak zaglądają tutaj i dalej idą swoją drogą zwidów... Ale interesują się, mogą zajrzeć...* Najwyraźniej nie ma ochoty na drugie. Wpada pielęgniarka i spostrzegłszy moje niezdecydowanie w tej sytuacji, przejmuje inicjatywę. Wytyka salowej, która tymczasem też skądś wychynęła, wysługiwanie się mną. A tamta, że była przekonana, że jestem z rodziny...

25 września 1999 r.

Zdrowie jest inaczej... Są zmiany, są inne sposoby współżycia ze sobą.

Życie musi być różnorakie. Źle, jak człowiek sobie za dużo zakazuje i źle, jak za mało zakazuje.

Wspominam o wizycie u nas Andrzeja Mesjasza, kuzyna Iwony, autora aforyzmów, który swego czasu go odwiedził. Przypomina sobie to spotkanie, a kiedy wtrącam coś o tajemniczym nieco dla nas trybie życia tego człowieka, stwierdza - *Pisarz musi być tajemniczy, bo jak nie jest tajemniczy, to nie wiadomo, kim jest.*

*Żeby nie być znudzonym sobą, trzeba robić dobrą minę do złej gry - „nie jest tak źle...” Te smaki są tak znane, od dzieciństwa, nic naprawdę nowego nie można wymyślić... Jak robię po swojemu, to jest źle, mówią, że tylko śpię - a jak się obudzę, to zaraz trzeba jeść... Trzeba udawać, że ma się ochotę do jedzenia. Najgorsze, że naskórek człowieka reaguje zdarciem, że jedzenie boli i nie smakuje. Pije bardzo chętnie, kilkakrotnie nalewam mu wodę mineralną. Błogosławiony smak wody... Jest wyraźnie osłabiony i zdaje sobie z tego sprawę. Milczymy przez chwilę. *Niestety, nie mogę zaproponować swego towarzystwa, tego co cieszy, bawi, każe ludziom żyć. Raczej coś przeciwnego robię...**

Lekarze przyjeżdżają... Nie byłoby Jachimowicza, nikogo by nie było - pieniądź, pieniądź to jedyna rzecz, która pobudza ludzi do działania, ludzi znanych i nieznanym...

Jak jest to życie takie nienormalne, to staje się takie zjawowite... U mnie ciągle jakieś zwierzątka patrzą zza węglów, jakieś sarenki, pospolite ptaki i mniej pospolite... Na tych peryferiach życia coś się dzieje... Tam gdzie coś chce się ukryć, nie chce się

ukryć, tam jest życie twórcze, tam działał Schulz, tam gdzie inni wysiadali, tam on się zjawiał...

Zbieramy się do wyjścia. Uważajcie, uważajcie - rozporządzacie nie tylko swoim, ale i czymś, co w was jest...

14 października 1999 r.

Drzemie. Budzę go dotknięciem dłoni. Ma zabandażowane prawe przedramię, w lewym nadgarstku umieszczoną igłę kroplówki, dziwnie skręconą na piersiach piżamę w czerwone paski, niewiele osłaniającą - być może z powodu panującego tutaj ciepła - widać daleko goły brzuch, nie ma włożonych spodni. Mówi bardzo niewyraźnie, mamrocze coś, czego nie mogę uchwycić. Po chwili mowa stopniowo wygładza się, choć nadal słucha się go z wysiłkiem. Ma tego świadomość, gdyż pyta, jak odbieram jego głos. Jest pewien dalszej zmiany swego stanu i sądzi, że także w głosie się to objawia. Odczuwa jego obcość. Mówi, iż nigdy, od kiedy się znamy, nie czuł się tak źle.

Jestem zagubiony w sobie... Kiedy usiłuję powiedzieć coś mobilizującego - To właśnie... żeby w takiej sytuacji naporu z zewnątrz zachować siebie... Po kilku minutach - ni to drzemki, ni to milczącego kontaktu z nami - wyrwa mu się z westchnieniem - Umieram... Znowu jest chwila nijakości, kiedy on jakby oddalał się wewnątrz, a my nie możemy nic powiedzieć. Powraca - Istnienie związane jest z bólem i odrętwieniem... To są fizycznie i psychicznie nowe wartości... Ta nieszczęsna rzeczywistość jest niesłychanie ważna... Jeszcze nigdy tak się nie czułem, czyli - nie czułem.

Nieoczekiwanie, jakoś wyraźniej, jakby znalazł nagle intrygujący wątek - *To byłoby ciekawe, gdyby się odmiały role, gdybym ja trzymał notes, a pan mówił... Czy jeszcze się to odmieni... Może... Ale czy na tyle, że będzie to odmiana ciekawa... Ale teraz to już jestem jako uczeń, który mam zdawać egzamin przed wami... Nowa rola, nowa i trudna... Zwraca się do Iwony, co u niej słyhać, potem mówi - Znam lata pani, i życzę dobrze, ale wiem, ile jeszcze rzeczy przykrych musi pani przejść... Świat tak szybko się nie zmienia, jak zdrowie człowieka! I to jest na korzyść świata!*

Opowiadam mu o wczorajszej porannej łące. Pierwszym szronie, zakrzepłych źdźbłach, oblodzonych wrzosowych gałązkach. Zachłyśnięciu się nowością. Później o naszej wizycie w Kłodzku. Ożywia się - *Teraz widać, jak ważne były te wszystkie zmiany w nas i w pejzażu. Jak ważne było to, że człowiek odwiedza jakieś miejsca, z jakimiś ludźmi się spotyka, z jakimiś przedmiotami... Jakie ważne, aby te zmiany widzieć... Łatwość życia - to jest właśnie młodość, ułatwianie sobie życia.*

Mamy ze sobą słownik „Pisarze Dolnego Śląska”. Pokazuję mu tę książkę, potem jego biogram, pytam, czy przeczytać. Słucha z uwagą, kiedy odczytuję powoli, jak najwyraźniej jego życiorys, jego publikacje, recenzje jego utworów. W ten po szpitalnemu wybielony, wyjałowiony pokój padają nazwy miejscowości: Schodnica, Borysław, Budapeszt, Łomża, Wałbrzych, czasopism: „Odrodzenie”, „Twórczość”, „Odra”, tytuły książek: „Ścieżką konieczną” ... - po „Jaskółki jutra”. Nazwiska wielkich Węgrów - Kassaka, Petofiego - i rodzimych krytyków, od nieżyjącego już, znanego nam doskonale wałbrzyszanina, Jarosława Haaka do najmłodszego - Karola Maliszewskiego. I otrzymane przez poetę krzyże Orderu Odrodzenia Polski. Ta publikacja trafiła do mnie przypadkowo, dziś, dwie godziny temu nieoczekiwanie podarowano mi ją w Świdnicy, ale teraz - choć wszystkie te informacje, osoby nie nowe, dzieła i artykuły przeczytane, wielokroć roztrząsane, dyskutowane, przywoływane podczas trwającej dziewiętnaście lat naszej znajomości - teraz spełnia mistyczną rolę, w tych przedostatnich być może dniach służy mu odbiciem, porządkuje jeszcze jego wizerunek. A jednocześnie, w miarę czytania, jakby ze słuchaniem własnego głosu, narasta we mnie poczucie, że coś - także dla siebie - podsumowuję, zamykam.

*Chciałoby się przynajmniej przez krótki czas przeżyć siebie w takim stanie, w jakim się czuło nie tylko ból.... No cóż, to życie moje teraz to jest życie wami, wszystko, co każe chcieć, to wy... Mówię, używając najsilniejszego zaklęcia, że warto jeszcze wrócić do poezji. Podchwytuje - *Czyli do swego życia, bo w tym wszystko jest razem. Bo w tym wszystkim jesteśmy - r a z e m.**

Kończy mi się ostatnia wolna kartka w notatniku. Kończą się też nasze odwiedziny. Wszyscy troje jesteśmy głęboko poruszeni. Trudno powstrzymać łzy. Żegnamy się tak, jakby to było właśnie to pożegnanie ostateczne. Żal przełamuje się z pamięcią niezwykłości zdarzenia, które miało miejsce przed chwilą, w którym staliśmy się bardziej sobą, doświadczyliśmy innego, przekraczającego powszedniość, życia. Kiedy oddaliśmy się szpitalnymi meandrami, a potem alejkami przed budynkiem - w zapadającym już jesiennym zmierzchu - mamy wciąż poczucie wyniesionej stamtąd głębokiej międzyludzkiej - darowanej więc także nam dwojgu, na nasze wspólne życie - więzi.

23 października 1999 r.

Przyjeżdżamy z dwoma czeskimi poetkami; Věřą Kopecką i Evą Kučerovą, i panem Henrykiem Hnatiukiem, znającym Jachimowicza z dawniejszych czasów, jednym z organizatorów poetyckiego spotkania w Boguszowie-Gorcach, który chce w imieniu wszystkich tam zebranych ofiarować mu róże. Dość długo czekamy na korytarzu, aż zakończą się zabiegi pielęgnacyjne. Wchodząc budzimy go z drzemki, w jaką zapadł w ciągu paru sekund. Jest jakby półświadom tego, co się dzieje, choć najwidoczniej usiłuje mieć kontakt ze wszystkimi. Po paru minutach zostaję z nim sam.

Dużo bólu się najadłem w krótkim czasie... Słucham z wysiłkiem. Mówi cicho, niewyraźnie, czasem jeszcze przesłaniając mimo woli usta przegubem lub dłonią. Wierząc w siebie, wierzy człowiek i w ludzi... Szuka się jakiejś przekładni i żyje się dalej... Próbuję być tak od czasu do czasu - nie tylko życiu, ale i poezji...

Tak człowiek czeka na taką chwilę, aby odjęło tego bólu i pozwoliło odetchnąć... Chcąc podnieść go na duchu, mówię, że wciąż ma dar poezji. Dar związku z życiem, dar związku z życiem - powtarza z większym zdecydowaniem, głośniejsze i wyraźniej. Dodaje, iż przeżył cały prawie wiek dwudziesty. Nie jako coś obcego - odpowiada powoli - ale coś, co się jakoś formą, odczuciem wiąże z wiekiem nowym... Oby częściej było można oprócz bólu zaznać poezji... Ufam poezji, gdybym nie ufał, to bym nie wracał do tych motywów starczych... Mówi, że poezja odmładza, że mnie moja poezja wciąż odmładza, wciąż jest młoda. Na zakończenie dodaje: Proszę przyjechać następnym razem z jakimś nowym wierszem.

7 listopada 1999 r.

Góry Wałbrzyskie bez Jachimowicza! Właśnie wyskoczyliśmy z zakrętu, z obniżenia i nagle na wprost, w zmięczeniu, zaolbrzymiały przed nami utkane świerkami kopce nad Jedliną. W tym samym momencie, jakby odczytując myśl, Iwona powiedziała załamującym się głosem - I już nie ma pana Jachimowicza... Przyjechalismy do szpitala po południu, wolniutko, z trudem przebijając się przez mgły, przeszliśmy tu meandrem korytarzy na parterze - i ujrzelismy puste łóżko, bez pościeli. Jeszcze nic nie wiadomo, jeszcze nadzieja, ponieważ ktoś jest na drugim, w głębi, za parawanami, zaglądamy - nie, to ledwie dyszący, opięty przewodami ktoś jakby z innego świata, zapewne ofiara jakiejś awantury. Pielęgniarka bez zawahania, profesjonalnie odpowiada - Pan Jachimowicz zmarł dzisiaj o dziewiątej. Odchodzi, urywa kontakt - zostajemy z tą informacją na poszarzałych jeszcze bardziej, wysłużonych szpitalnych wykładzinach. Idziemy znowu, jak parę tygodni przedtem, jednak bez tamtego uniesienia, przez podjazd, alejkę, poruszeni niestosownością ostateczności, niestosownością w tym naszym zwyczajnym życiu, w przelocie między miastami. W normalnym krążeniu emocji.

Później wizyta w domu pasierba Mariana Jachimowicza, Czesława Bugny. Nie pozwala nam odjechać w takim tumanie, ostrzega, potem wybiega i zawraca nas z ulicy. Śpimy w remontowanym właśnie dla wnuków mieszkaniu po pierwszej pani Jachimowiczowej. Pan Czesław opowiada trochę o pamiątkach, książkach z dedykacjami pisarzy, obrazach. Słyszałem nieraz o tym mieszkaniu - gdzie znajdowało się coś, o czym akurat mówiliśmy - z ust Jachimowicza Miał mi kiedyś, przy okazji, pokazać to czy tamto. A byłem tutaj tylko raz, dwadzieścia lat wcześniej, przyprowadzony omyłkowo przez kustosza Eufrozyna Sagana z wałbrzyskiego muzeum, który natchnął mnie ideą zrobienia Jachimowiczowi wystawy i - po wyjściu

stąd - poznał mnie z nim w jego drugim, położonym opodal, przy tej samej ulicy, mieszkaniu. Ale teraz wracamy, jedziemy wzdłuż gór, wzdłuż strumieni, przez ziemię, moją, naszą ziemię, która przecież, tak sobie myślę, zawsze, od kiedy po wojnie ogarnęła ją polskość, była złączona z tym człowiekiem. Posłuszna jego mowie. Ponawiająca się w metaforze. Pierwsze światełka na niebie. Głuszycy, już Słupiec, wyraźniej, drgające światełka na ścianie kamieniołomu. Jakby nie można było stąd odejść. Trwa praca.